№ 31. Warszawa, dnia (18) 30 Lipca 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu z szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz z szpaltowy garmontu kop. 50.

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

— Warto było lecieć o świcie na błota, żeby się takich głupstw nasłuchać!—mruczała do siebie.—Co prawda, ten koleżka w Genewie, co z czemś podobnem wystąpił, lepiej zarobił, ale tegom nie mogła tak zwymyślać, bo żadnych propozycyi nie robił. Ale w każdym razie głupie położenie. Trzeba będzie zbierać manatki i zmykać. A tobym się prędzej spodziewała, że gęsi będę pasać, niż takiej nowiny.

Wstąpiła wprost do szpitalika i po godzinie opatrywania chorych już nie myślała o wypadku. Wydawało się to jej bardzo marnem wobec pacyentów i ich dolegliwości, a wreszcie zupełnie zapomniała.

Idąc na śniadanie spotkała Kazia, wracającego z polowania. Miał dwie kaczki u torby, i rękę okręconą chustką skrwawioną.

— Może i mnie opatrzysz?—zawołał.

— Postrzeliłeś się?—spytała niespokojnie.

— Pies szarpał kaczkę, odpędzałem go i strzelba mi wypaliła w rękę. Palce całe, ale dłoń poszarpana.

— Chodźże do szpitala.

Powstał rumor w całym dworze. Pani Taida pierwsza przybiegła i zastała już Stasię przy robocie.

Kazio blady z bólu, milczał, nie patrząc na swą rękę, ale na Stasię, która z wielką delikatnością dobywała ziarna śrutu, oblepione krwią.

— Mój Boże, jeszcze rękę straci. Trzeba budzić Włodzia!—wołała w desperacyi.

— Niech śpi!—zaprotestował Kazio.—Stasia to tak dobrze reparuje, że mnie nie boli. A mam rękę stracić, to i Włodzio nie pomoże

— Ręka zostanie, tylko szwy będą na pamiątkę — odparła Stasia. — Nie słabo panu? Tam eter stoi.

— Oho—panu!—pomyślał—jak jej to łatwo przychodzi.

Matka objęła go ramieniem za szyję i pocałowała w czoło zroszone potem. A wtem i Włodzio nadszedł zaalarmowany przez służbę, zaniepokojony.

Chciał pomódz Stasi, ale brat nie dopuścił.

— Nie rusz mnie. Masz łapy ciężkie! — wołał.

— Patrzcie go, jaki wybredny. Doskonale, panno Stanisławo—teraz lodu i położyć sowizdrzała. Nic mu nie będzie, ale miesiąc się pocacka z tą kukiełką. Próbowała pani kości?

— Całe. Tylko piąty palec będzie sztywny.

— No, mniejsza z tem. Idź do łóżka?

— Ani myślę. Dziękuję pani, już mi lżej.

Założyła mu temblak, a on pomimo bólu rad był na myśl codziennych opatrunków.

Nie położył się, ale się ulokował na werendzie, gdzie wszyscy go otoczyli, służąc i dogadzając. Wobec tego trudno było Stasi wspomnieć o wyjeździe, zresztą coraz mniej pamiętała o tych niespodziewanych oświadczynach, a Kazio wierny przyrzeczeniu, ani wspomniał o tem, ani się zdradził słowem lub spojrzeniem.

Tymczasem już nie z samej Rudy, ale ze wsi okolicznych poczęli się chorzy ściągać. Była to istna processya do „panienki, co to jest prawdziwy doktór.“ Zapracowana po dniach całych, była w swym żywiole.

— Tylko proszę mnie objaśnić, jak ten stary wasz Fijolski daje rady tak olbrzymiej praktyce?—spytała raz Kazia, zmieniając opatrunek.

— On! Alboż onby chciał takiej praktyki!—rzekł Włodzio.—Ładne utrzymanie! Chłop wymaga bezpłatnej porady, bezpłatnego lekarstwa, a że doktór żaden na to się nie zgodzi, więc oni do doktora nie chodzą. Fijolski obsługuje dwory, miasteczko, żydów, urzędników, tych co mu chleb dają, a resztę czasu gra w karty. Ładnieby wyszedł, gdyby zechciał leczyć chłopów.

— Opowiadał mi raz, że chłop za poradę dał mu rubla i prosił o resztę. Ile? pyta. Sześć złotych—rzekł Kazio. — Parę razy gdy wyszedł na chwilę z gabinetu, zostawiwszy pacyenta chłopa, ten mu ściągnął jaki drobiazg z biurka. Tak go to zniechęciło, że teraz na próg nie wpuszcza.

— Więc któż ich leczy?—spytała Stasia.

— Trochę dwory, trochę felczery żydy — najwięcej znachory i baby. Zmierają też gęsto!—odparła pani Taida wzdychając. — Nie można rady dać!

— Ot pole do pracy. Niedbać o sławę i chleb i temu się poświęcić! — pomyślała Stasia.

Kazio patrzał na nią badawczo, ciekawy dlaczego nagle umilkła, a pani Taida rzekła.

— Trudno od ludzi żądać nadzwyczajnych cnót. Fijolski jest jak każdy. Żyje ze swego fachu, jak ksiądz żyje z religii. Bierze jeden pieniądze za lekarstwo, drugi za modlitwę. Zapewne że w idealnem pojęciu tak jedno jak drugie jest strasznym dyssonansem, ale harmonii niema na świecie i walka o byt zabiła w nas nawet poczucie ideału i ofiary. Sławy jeszcze pożądają, ale chwały prawie nikt.

I na to Stasia nic nie odparła. Spuściła głowę i myślała, myślała. Wreszcie zerwała się i poszła do siebie kuć egzamin.

Po paru tygodniach zgoiła się prawie ręka Kazia, i opatrując go, Stasia rzekła.

— No, jutro już wyjeżdżamy.

Pobladł mocno na tę wiadomość.

— Już!—powtórzył żałośnie.

— Zadłużyłam się względem was bez miary. Postaram się odpłacić ile sił! — mówiła zamyślona. — Dziś się jeszcze z pana matką rozmówię.

— O czem?—spytał niespokojnie.

— O wszystkiem!—odparła ogólnikowo.

Rad był dalej badać, ale weszła Ozierska, i zawołała ją, by zebrała książki do kuferka, więc się Kazio nic nie dowiedział.

Wieczorem pani Taida już napół rozebrana pisała w swej szarej księdze, gdy zapukano do drzwi i weszła Stasia.

Była, jak już od pewnego czasu, zamyślona i poważna, i rzekła, siadając na stołeczku u nóg staruszki.

— Przyszłam do pani z gotowym już planem przyszłości, po sankcyę.

— A jeśli zamiast sankcyi trafisz na krytykę

— Nie. Jestem spokojna.

Podparła brodę pięściami i zaczęła.

— Czy pani mnie pamięta, gdym tu po raz pierwszy przyjechała z matką, okrzyczana i słusznie, za istotę bez czci i wiary, za najgorszą córkę i materyał na awanturnicę. A wie pani, że prawie pewno skończyłabym w kozie, lub w domu waryatów, gdyby nie pani.

Pani nie pamięta co wtedy mówiła, a ja to mam w uszach jakby dzisiaj. Każdy starszy był w mojem pojęciu kretynem i wrogiem, każdy morał i perswazya przedmiotem do drwin bezczelnych, a pani słowo jedno trafiło mi do duszy. Co tam był za chaos i pożar! Zastanowiłam się i ujrzałam przed sobą cel. A potem ukradkiem przeczytałam tę księgę szarą pani i postanowiłam być bohaterem.

— Szalona głowa! Tobie i teraz jeszcze w niej się pali—wtrąciła pani Taida.

— Pali się, ale już nie pożoga, ale pochodnia. Wtedy pierwszy zwrot nastał we mnie dzięki pani.

— Ładny zwrot, żeś z domu uciekła. Może i to dzięki mnie?

— A tak. Musiałam iść przebojem do celu, jak pani w życiu nieraz szła. Potem przyszły na mnie złe terminy, straciłam wiarę w Boga, szacunek dla ludzi, byłam w biedzie okropnej, o pół kroku od samobójstwa. Nie mówiłam tego pani; wtedy gdy ciocia Dysia do mnie przyszła nie uczyłam się, ale miałam przed sobą szklankę z trucizną i patrzałam w dogorywającą lampkę, czekając aż zgaśnie, aby wtedy ze sobą skończyć. No, i ona przyszła, a nazajutrz poszłam do kościoła, wieczorem dostałam korepetycyę, i byłam znowu uratowana dzięki wam. A potem te sto rubli, był to jeszcze jeden szczebel do tryumfu. Dzięki pani tylko jestem czem jestem!

— Mogę ci zaręczyć, że mi wcale nie sympatyczna wasza emancypacya i tylko twoja szalona głowa może wysnuwać z moich czynów takie wnioski. Zawszem była nierada z twego kierunku...

— Ale mi pani zmarnieć nie dała. A wreszcie zeszłego roku w Warszawie, kto mnie zrozumiał i dał możność skończenia nauk?

— To już doprawdy nie moja zasługa, ale Kazio mnie namówił. No, boć też tyleś lat się męczyła, że żal było zmarnowanego czasu. Ja bo nie znoszę niedokończonej roboty.

— A nie pomyślała też pani nigdy, że świadczyła dobrodziejstwa niewdzięcznicy?

(Dalszy ciąg nastąpi).

FRANCISZEK CHATEAUBRIAND.

Wspomnienie historyczne.

(Dokończenie.)

Ambasada Chateaubrianda w Rzymie była ze strony restauracyi krokiem zręcznym bardzo. Między kreaturami nowych rządów we Francyi, nie było ani jednego człowieka, któryby był tak jak on w stanie wyrównać trudności przez tyle lat nagromadzone zarówno przez respublikę, jak i pierwsze cesarstwo. Z jednej strony stolica Apostolska wyróżniająco traktowała jako pełnomocnika rządu francuzkiego autora „Ducha Chrystyanizmu" i „Podróży do Ziemi Świętej," z drugiej sam Chateaubriand poza tem, co stanowiło główny cel jego misyi politycznej, znajdował w Rzymie niewyczerpane źródło zadowoleń jako człowiek nauki, estetyk i religjant, jakim był niezaprzeczenie przez całe życie swoje.

Jedną ze stron charakteru Chateaubrianda, którą, acz niechętnie, poruszyć jesteśmy obowiązani w tem wspomnieniu naszem, jest jego stosunek do kobiet wogóle, a przedewszystkiem do kilku kobiet wybitnych jego epoki.

Ten człowiek namiętny w polityce, ten ultrakatolik i rygorysta aż do ascetyzmu na wielu bardzo punktach, co do tego jednego wyjątkowo, zdradzał zawsze pewną lekkość dworaka z epoki Ludwików. Czy to była u niego nieodłączna od rycerskości starej szlachty tak zwana kurtuazya specyficznie francuzka, czy ją kto chciałby innem jakiem mniej wyrozumiałym terminem nazwać, dość że w świecie niewieścim ówczesnym używał ten człowiek wziętości niepospolitej. Po pani Recamier pozostał bogaty dosyć materyał prowadzonej z Chateaubriandem korespondencyi—pani Beaumont była jego miłością prawdziwą, i stratę jej opłakiwał długo—pani Stael miała w listach swoich do niego stale przyjętą intytulacyę: „My dear Francis." Jedna tylko kobieta, to jest ta, z którą go w młodości ożeniły siostry, była mu jednako i niezmiennie obojętną. Nawet jej przywiązanie i troskę o siebie serdeczną płacił chłodem, który się nie zaniedbał wylać jeszcze i w tych pamiętnikach pogrobowych. Wspominając naprzykład o owem piśmie „O Bonapartym i Burbonach," które przygotowywał zawczasu, mówi, że pani Chateaubriand strzegła tego rękopisu jak oka w głowie, i zawsze nosiła go przy sobie z obawy, aby się nie dostał policyi Bonapartego, która, jak jej dobrze wiadomem było, i mieszkanie, i osobę jej męża miała na oku. Otóż pewnego razu biedna kobieta wychodząc na miasto zapomniała wziąść tego zwoju papierów, a mimo to przekonaną była, że ma je za gorsem, jak miewała zwykle. W drodze spostrzega, że rękopisu nie ma. A więc naturalnie: zginął—policya go znalazła — aresztują Franciszka, jednem słowem wyimaginowany naprędce w gorączkowej wyobraźni dramat cały, bo że z wyrokiem śmierci nie byłby skrupulizował rząd Bonapartego, o tem niewątpili oboje małżonkowie, ani nikt, kto znał ówczesne stosunki. Nieszczęśliwa była w rozpaczy. Biegła do domu wpółprzytomna, a już nawet znalazłszy się w swoim pokoju i odszukawszy to przeklęte pismo spoczywające sobie spokojnie, tam gdzie je pozostawiła, przypłaciła przestrach swój omdleniem i chorobą.

Mówiąc o ewentualnym swoim wyroku śmierci, powiada autor „pamiętników:" Nigdy nie darowałbym sobie, gdybym się był stał przyczyną takiej przykrości dla pani de Chateaubriand.

Jak widać, nie czuł się za ten akt niewątpliwego przywiązania dłużnym nic więcej, oprócz tej odrobiny gryzącej ironii w kilku słowach zawartej.

Ale trudno! To już taka a nie inna jest ta maniera francuzka odnośnie do kobiet, i na tym punkcie, póki oni pozostaną tem czem są, a my nie przeinaczymy się doszczętnie, nigdy między sobą porozumieć się nie potrafimy. We Francyi kobieta znaczy co innego, a u nas co innego, i dlatego najlepiej zrobimy, gdy z tego tytułu nie będziemy ciągnęli przed sądy żadnego z wielkich ludzi Francyi. To nie jest sprawa między nami a nimi—to jest rzecz rozstrzygająca się między mężczyzną Francuzem, a kobietą Francuzką. Zresztą mówiliśmy tutaj o człowieku publicznym, a nie o jego więcej lub mniej surowych zapatrywaniach na moralność w małżeństwie. Dla nas jest to człowiek dużej miary, pomimo wad, chociaż z drugiej strony mniemamy, że dla Francyi dzisiejszej ta strona charakteru Chateaubrianda najwięcej jeszcze ze wszystkich składników jego indywidualności przemawiać będzie za jego osobą.

Niechciejcie czytelnicy dopatrywać w tem przesady jakiejkolwiek. To tak jest jak mówimy. Chwila obecna z ludźmi tamtej epoki, z takim naprzykład Chateaubriandem najbardziej, a i ze wszystkiemi wogóle tej ery wierzeniami, ideami, sposobem myślenia i twórczością nawet artystyczną, obchodzi się nader bezwzględnie.

Niema temu więcej jak lat czterdzieści, kiedy każdy student francuzki bez względu na przekonania polityczne, do których się garnął, czytywał „pamiętniki pogrobowe," entuzyazmował się do nich, i wynosił z nich to przedewszystkiem przekonanie, że można być rojalistą, można zwalczać ideę republikańską, a nie przestać być mimo to dobrym Francuzem i zyskać sobie prawo do nazwy znakomitego obywatela swojego kraju.

Dzisiaj co innego zupełnie! Dzisiejsza Francya polityczna, Francya naukowa, wraz z całą intelligencyą nie ma dla tych, jak je nazywa, zbutwiałości ani jednego słowa wzmianki—ani żadnego nawet wyrozumienia.

Uroczystość 50-letnia śmierci Chateaubrianda przeszła w milczeniu. Francya urzędowa nie była tam reprezentowaną wcale, nauko-

wa i artystyczna nie interesowała się tym obchodem bynajmniej. Zresztą to człowiek dzisiaj osądzony i odsądzony — sądzili go wprawdzie Sainte-Beuv'y i inni podobni, ale kondemnata odbywała się przy olbrzymim rozgardyaszu dziennikarskim; mało kto protestował, więc się wyrok uprawomocnił, a prawo obrony przedawnieniu uległo. Kiedyś, może znowu... ale niema żadnych danych do przewidywań podobnych z tego, na co patrzymy, więc bezpieczniej horoskopom takim dać za wygranę na teraz.

Należy w tej kwestyi koniecznie zdać sobie sprawę ze zmian jakie się spełniły w ciągu drugiej połowy stulecia, a zwłaszcza ostatniej jego ćwierci.

Tak jak w polityce niepodobna dopatrzeć cech charakterystycznych wspólnych między ochotnikami Santerré'a chociażby, a komunardami roku 1871 — między zgromadzeniem prawodawczem rozpędzonem przez zamach 2 Grudnia, a panamczykami lat ostatnich zalegającymi krzesła reprezentantów Francyi—między przywódcami szuaneryi Wandejskiej, a plutokracyą dzisiejszą—między szczerym fanatyzmem w przekonaniach, a oportunizmem schyłku stulecia, tak samo niepodobna nieuznać, że między umysłowością Francyi dawnej, a twórczością literacką dzisiejszą, między smakiem literackim z przed lat czterdziestu chociażby, a gustem czytającej publiczności dzisiejszej, niema nic zupełnie, coby stanowiło łączność jakąkolwiek. Epoka która do nazwiska Maupassanta łączy przydomek „wielki," nie może pojąć i odczuć, a tem samem nie może mieć uznania dla kierunków reprezentowanych w belletrystyce przez Victora Hugo naprzykład. Równie też jasnem jest, że za czasów Viktora Hugo to co pisał Maupassant nazywało się krótko i węzłowato pornografią, a nawzajem nikogo dziwić nie powinno że na ideały Victora Hugo każdy z krytyków dzisiejszych rusza sobie lekceważąco ramionami i nazywa je czczą deklamacyą.

Dumas stał się ongi najpopularniejszym pisarzem swojej epoki dlatego, że apoteozował ducha francuzkiego, że śpiewał w poetycznej prozie dzieła Francyi. Zola jest najpoczytniejszym z belletrystów współczesnych dlatego właśnie, że na arystokracyi, na szlachcie, mieszczaństwie większem i drobniejszem, na robotniku fabrycznym i chłopie francuzkim nie pozostawił ani jednej suchej nitki. Każdy wiek musi mieć swoje tytuły do wziętości—swoje hasła i swoje obyczaje. To też dzisiejsza Francya uczyła się miłości swojego kraju od Zoli, którego ojciec, jak ogłasza generał Laverdo, był kilkakrotnie na kradzieży chwytanym przeniewiercą kas wojskowych i zbiegiem z pod sztandaru, a ta dawna, ta dzisiaj lekceważona społeczność, miała sobie wszczepianą tę miłość przez Dumasa (ojca), który z dumą sprawiedliwą powoływał się na to znowu, że był synem człowieka, którego nazywano tchórzem wobec gilotyny, a Horacyuszem Koklesem wobec nieprzyjaciela. Tak daleko już od tego Dumasa ojca do jego syna, któremu jego „Dama kameliowa" otwarła podwoje akademii francuzkiej, co tu dopiero powiedzieć o niezmiernej przepaści rozdzielającej pokolenie dzisiejsze od tego, wśród którego żył i pisał taki Chateaubriand naprzykład.

Nie trzeba nigdy wymagać niepodobieństw, a do niepodobieństw zaliczyćby trzeba zrozumienie Francyi dawnej przez Francyę współczesną. Do wzajemnego zrozumienia się, a choćby do wyrozumiałości potrzeba pewnych punktów stycznych w wyobrażeniach, dążnościach, obyczajach, a tych stycznych brak bezwzględnie. Tak jest—w życiu publicznem i prywatnem wnuki do dziadów swoich tak zupełnie niepodobne; pierwsi tak nie przypominają drugich w wielkich i małych sprawach, że doprawdy zdumiewać się potrzeba, jakie parę dziesiątków lat zrobić może niesłychane przeobrażenia w duchu narodu. Dowodów moznaby przytaczać bez liku, ale weźmy dla przykładu to, co najświeższe — weźmy kilka nazwisk wybitnych plączących się w jednej i tej samej sprawie—sprawie choćby z ubiegłego zaledwie miesiąca, która napełniała szpalty dziennikarskie, zajmowała, bawiła ludzi przez dni kilka, była tak nazywaną: „nouvelle du jour." Oto ona:

Po Wiktorze Hugo pozostało dwoje wnucząt jego—dzisiaj już ludzi dojrzałych. Jednem z nich jest Jerzy Hugo, drugiem siostra jego, która zaślubiła p. Daudet (syna Alfonsa), a w krótkim czasie rozstawszy się z nim dla niezgodności usposobień, jak opiewa wyrok rozwodowy, wyszła w powtórne związki z doktorem Charcot, synem znakomitego psychiatry. Młody Hugo pomimo rozwodu siostry, pozostawał w stosunkach blizkich z ex-szwagrem swoim Daudetem, co i siostra jego i matka, i sam przedewszystkiem dr. Charcot uważali za niewłaściwe. Nie przeszkadzało to jednak tym dwóm ludziom ukazywać się razem w miejscach publicznych, a upór ten taki miał koniec, że dr. Charcot publicznie w foyer opery wypoliczkował swojego szwagra i dopełniwszy tego przyszedł pochwalić się dziełem swojem przed żoną i matką na głos cały w teatrze, a one nie zaprotestowały bynajmniej przeciwko faktowi. Dziennikarstwo i motłoszek obchodziło ucztę prawdziwą przez kilka dni, i oto macie przykład, jak naraz trzy nazwiska używające wielkiej niedawno jeszcze wziętości, ni ztąd, ni zowąd szarzają się w rynsztoku — a jednak ci, co je wsławili do zajść podobnych nie nadawali się przecież w żaden a żaden sposób. Hugo, Charcot, Daudet-dwaj pierwsi ludzie wielkiej sławy w różnych dziedzinach, trzeci renomowany autor, uwikłani w burdę szynkową. Czy przypuściłby ktoś co podobnego? Tak, to było do nich niepodobnem zupełnie, ale dla ich wnuków to jest właśnie w sam raz, i temu znowu nie dziwi się nikt. Nie dziwimy się i my, ale też i nie żądamy, żeby Francya zaszachrowana, policzkująca się, z pijaczym rumieńcem na twarzy — Francya zwyrodniała jednem słowem, mogła zrozumieć Francyę rycerską, broniącą zasad nie interesów—dobijającą się postępu przez krew i ofiarę — aby się nawet myślą do tej epoki odnosić potrzebowała. Co ją to wszystko wreszcie obchodzić może?

Jej nie obchodzi z największą pewnością, ale obchodzi historyę.

Feljetoniści, powieściopisarze, paszkwilanci z instynktu i z zawodu, mogą obniżać i ściągać w błoto fakta i ludzi choćby dla osłabienia wielkich sprzeczności, jakiemi rażą w zestawieniu ze sobą te dwie epoki, ale faktów nie przeinaczą, i nikogo prócz zainteresowanych w szerzeniu skandalu nie przekonają o tem, żeby wszystko do nicości w przekonaniach, korzyści doraźnej i osobistej mizernej zasady użycia zredukować się dało.

Z poza mgły oszczerstw dziennikarskich, z poza mroku wywołanego przez zanik podnioślejszego pierwiastku w dzisiejszem życiu tego narodu, ukaże się znowu kiedyś może postać Chateaubrianda—wcale nie taka, jaką stworzyła na własny użytek Francya tegoczesna. Był człowiekiem—wolnym od ogólno-ludzkich wad i zboczeń nie był bynajmniej, ale że godzien był w swoim czasie trzymać sztandar zasady, że wart był mieć rząd dusz, i sumień ludzkich, tego dowodzi fakt, że nawet w strupieszałą ideę zdołał potęgą swojego ducha tchnąć żywotność chwilową, że nawet tę martwotę zgalwanizowała podniosłość jego własna.

Idea rozsypała się w proch, bo jej zabrakło siły wewnętrznej i gruntu realnego — wielki jej szermierz przeżył w dziejach siebie i przeżyje wszystkich potwarców swoich.

X—a.

Ze zjazdu lekarzy niemieckich.

Od tak dawna oczekująca rozstrzygnięcia stanowczego w drodze prawodawczej sprawa medycyny kobiecej w państwie niemieckiem uzyskuje niespodzianie teoretyczne rozwiązanie. Wyglądano powzięcia decyzyi ze strony państwa w tych czasach; decyzyi niema dotąd wprawdzie-przynajmniej urzędowej, ale to co służyć może dla niej za prejudykat, źle wróży o obrocie sprawy.

Juścić wątpliwości niepodlega, że na postanowienie rządu wpłynąć musi przedewszystkiem opinja sfer naukowych, a więc uniwersytetów i korporacyj lekarskich, a tu ztąd właśnie pada w tych czasach pocisk, o którym nie można tego nawet powiedzieć, aby sprawę w obecnem jej stadyum zatrzymał—aby pomyślne jej rozwiązanie na czas pewien jeszcze odroczył—owszem, pocisk o którym mamy słów kilka do zakomunikowania czytelniczkom, spycha lekarskie studya kobiety wprost z porządku dziennego, cofa zasadę samą o czterdzieści lat przynajmniej wstecz—cofa do epoki, w której ona nieśmiało kołatała po raz pierwszy do opinii publicznej.

Nietylko pieśń zagłuszoną bywa przez szczęk oręża jak się pokazuje; w państwach czysto militarnych załatwiają się ludzie i z nauką podobnie jak ze sztuką, a z zagadnieniami społecznemi i całem wogóle dziełem postępu, tak jak z regulaminem piechoty. Co nie dopomaga założeniu głównemu, co trąci nowością, tego się nie uwzględnia, a nawet temu się nie użycza uwagi. Ha! praktyczny to przecież naród te Niemcy—zobaczmy, w jaki sposób rozstrzygnięto tam w zasadzie kwestyę medycyny kobiecej.

XXVI zjazd lekarzy niemieckich zajął się gorliwie rozstrzygnięciem kwestyi zasadniczej: „czy należy wtargnięcie kobiety w dziedzinę praktyki lekarskiej uważać jako pożądane dla dobra nauki — dla społeczności, i dla niej samej? Czy odpowiednio do takiego lub innego na tę sprawę zapatrywania się sfer miarodajnych, wypadnie dla uniwersyteckiego wykształcenia kobiety na fakultetach lekarskich poczynić wszelkie możliwe ułatwienia — albo przeciwnie, warunkowo tylko dopuszczony przystęp jej dotychczasowy na kursa lekarskie, należy uzbroić formalnymi zakazami na przyszłość?"

Powiedzmy odrazu, że zjazd wypowiedział zapatrywania swoje na tę kwestyę prawie że w tym właśnie duchu. Niespodziewane, a jednak prawdziwe.

Przygotowany był ten temat do wprowadzenia go na porządek dzienny zjazdu, przygotował się też do odpowiedzenia nań profesor z Erlangen dr. Pentzold i wygłosił odczyt, który jak zobaczymy, uzyskał sankcyę powszechną zgromadzonych lekarzy niemieckich.

Rozpoczynając od charakterystyki samego prądu emancypacyjnego kobiety, jako źródła jej aspiracyj naukowych wogóle, przyznaje mu uczony niemiecki pobudki szlachetne, a i o korzyściach tego ruchu dla społeczeństwa wyraża się dosyć dodatnio. Inna rzecz jednakże według jego mniemania rozszerzenie przed kobietą widnokręgu zapatrywań, inna wybieranie dla siebie przez nią powołania naukowego, a jeszcze inna zupełnie, gdy tem powołaniem ma być karyera lekarska.

Co się tyczy drugiego punktu, mianowicie co do wtargnięcia kobiety do profesyi opartych na specyalności naukowej, mniema dr. Pentzold, że ruch w tym kierunku wywołaćby musiał koniecznie pewien rodzaj rewolucyi na całym obszarze wewnętrznych stosunków w Niemczech, a takiej rewolucyi Niemcom nie potrzeba zupełnie. Jeżeli zaś idzie o szukanie bytu przez zdobycie sobie wiedzy lekarskiej, to w tej profesyi nie widzi profesor z Erlangen żadnych szans przed kobietą, i w tem powołuje się on na doświadczenie, jakie na tem polu zrobiły państwa, które tę sprawę odrazu posunęły u siebie naprzód.

Wyłącza przedewszystkiem z pola porównać Amerykę, a to z racyi, że wogóle stosunki tej części świata z europejskimi zestawiać się nie dadzą, a potem, że zdaniem jego kobieta amerykańska z kobietą europejską porównywać się nie daje.

Dlaczego—nie określa bliżej.

Mówiąc o Rossyi, powiada, iż nie dziwi go to wcale, że w tem państwie rozpoczynają się ułatwienia dla nauki lekarskiej kobiecej, albowiem brak lekarzy daje się tam uczuwać powszechnie. Skoro zatem nie ma być lekarza wcale, niechajże nim będzie choćby kobieta. Pod względem ogólnym nie posunie to i w Rossyi oświaty kobiecej naprzód, albowiem państwu nie przyjdzie z tego nic, że mała liczba kobiet wykwalifikuje się na lekarki, podczas gdy miliony innych nie będą umiały czytać, tak jak nie umieją dotąd.

W Anglii kolonje żądają kobiet lekarek; Indye domagają się ich nawet stanowczo, niechaj zatem Anglia uprawia sobie medycynę kobiecą choćby na najszerszą skalę, skoro jej z tem ma być dobrze i korzystnie.

Nicości rezultatów medycyny kobiecej żaden kraj nie wystawia świadectwa tak wymownego, zdaniem dr. Pentzolda, jak Szwajcarya. Od trzydziestu kilku lat popiera federacya Szwajcarska ten kierunek, wielkimi nakładami czasu swoich uczonych, i oto na 2,000 lekarzy praktykujących w Szwajcaryi, znajdujemy tylko 23 kobiety. Kto właściwie, pyta mówca, ma odnieść korzyść z dopuszczenia kobiety do stanu lekarskiego? Czy chorzy i cierpiący? Bynajmniej! Lekarzy mają przecież Niemcy nietylko dostatek, ale nawet nadmiar, a wcale nie poucza nas dotychczasowe doświadczenie, aby z tego zadania wywiązywać się miała kobieta lepiej niż mężczyzna. Różnica jest — z pewnością jest, ale ta nie przemawia na korzyść kobiety.

Wogóle, ci z profesorów fakultetów lekarskich, którzy zebrali dotąd najbogatszy pod tym względem materyał porównawczy, a do takich zaliczają się profesorowie szwajcarscy, bardzo ujemne świadectwo wystawiają studyom kobiety w medycynie. Twierdzą oni jednozgodnie, że jakkolwiek studentki przekonały o tem, iż umieją pokonywać trudności, ale gdy idzie o porównawczy sposób zdobywania wiedzy, daje się powiedzieć, że: mężczyzna studyuje, a kobieta wykuwa swój przedmiot. Zbywa jej uzdolnieniom na produkcyjności, a lekarz potrzebuje być produkcyjnym i musi mieć indywidualność. Czynność przy łożu chorego bez energii twórczej obejść się nie może.

O chirurgii niema co mówić. Nawet ginekologicznych operacyj, gdy te są bardziej skomplikowane, nie jest w stanie kobieta wykonać; ma siły zbyt słabe i zazwyczaj sama rezygnuje w takich wypadkach na rzecz mężczyzny. Ten brak sił to jeden ze szkopułów kobiety; nie pozwoli on jej nigdy stawić konkurencyi mężczyźnie, a nawet do ciężkiej praktyki lekarza prowincyonalnego czyni ją zupełnie niesposobną.

Co do tego, jakoby kobiety żądać miały koniecznie porady od osób swojej płci, przeczy dr. Pentzold stanowczo, albowiem bezwarunkowa ich większość zwraca się do mężczyzn, ile razy mianowicie cierpienie jest poważniejsze. Tej ufności niema, bo jej być nie może, bo niema do niej przyczyny dostatecznej.

Tyle co do tych korzyści społeczeństw na medycynie kobiecej, o które były dotąd spory, a którym odmawia gruntu dr. Pentzold w swoim odczycie; w dalszym ciągu zastanawia się on nad stratami niewątpliwemi, i o tych znowu w ten sposób się wyraża:

Materyalnie biorąc studya lekarskie nie opłacają się kobiecie. Na kilka głośniejszych nieco wziętości lekarskich, reszta kobiet praktykujących bardzo mizernie wegetuje. Jest to rzecz sprawdzona i co do tego sporów być nie może żadnych. Odpowiednio do wyłożonego nakładu pracy i ubytku zdrowia, kobieta która zdobyła dyplom, wcale wynagrodzoną nie bywa tak jak należy, i tak jak się ona zazwyczaj spodziewa.

O takich, które ustają w połowie drogi, a tych jest liczba nader znaczna, dałoby się powiedzieć dużo. Są to siły złamane—istnienia zwichnione zupełnie. Nic dziwnego że upadły w walce; walka istotnie przechodziła ich możność.

Co do uniwersytetów, nie można inaczej powiedzieć, tylko że na dopuszczeniu kobiety do studyow medycyny, straciłby one musiały koniecznie, gdyż bezwątpienia żadnego, wpłynęłoby to na niekorzyść wykładów.

Reasumując swoje zapatrywania, konkluduje w ten sposób:

Jeśli nadal dopuszczanie kobiet do studyów będzie tylko dozwolonem, bez popierania go wszakże i wyjednywania dlań ułatwień, w takim razie można się nie obawiać, aby napływ kobiet do zawodu lekarskiego miał o wiele przekroczyć normę dzisiejszą.

Gdyby jednakże przez ułatwienia różne, jak zakładanie gimnazów naprzykład, zachęty, i wogóle rozdmuchiwanie tego prądu, ruch miał się znacznie zwiększyć, wówczas okazałoby się nieuchronnie: 1) że straciliby na tem w pierwszym rzędzie cierpiący sami, 2) kobiety przyznaćby musiały także, że i im przyniosło to więcej strat niż zysków; 3) wpływ na uniwersytety i poziom nauki musiałby się okazać ujemnym; 4) powaga stanu zostałaby obniżoną, i dobro społeczeństwa żadnych korzyści wykazaćby nie mogło.

Niemcom wedle dr. Pentzolda niepotrzebne są uczone albo pseudouczone kobiety, ale natomiast bardzo oni pragną dzielnych towarzyszek życia i dobrych wychowawczyń młodego pokolenia.

Po debatach i dosyć ożywionej nad kwestyą dyskusyi, rezolucya prelegenta została zaakceptowaną, i kongres oświadczył się przeciwko ułatwianiu na przyszłość kobiecie niemieckiej studyów lekarskich.

K.

Niefortunne wystąpienie.

Jak to zapewne zkąd inąd wiadomo czytelnikom, zapowiedziany w Poznaniu na miesiąc bieżący zjazd lekarzy i przyrodników polskich, nie przyszedł do skutku. Na krótko przed terminem rozkaz ministeryalny zabronił wpuszczania w granicę uczonych polskich, którzy nie mogliby się wylegitymować że są poddanymi państwa Pruskiego, i tym sposobem tak zwane dzisiaj dzieło pracy pokojowej, chlubiące się tem, że nie ma z żadną faktyczną ani wyimaginowaną agitacyą polityczną najmniejszego związku, dzięki jedynie zawziętości niemieckiej zostało w niwecz obróconem.

Tyle co do faktu samego. Korzyści jakie przynoszą każdej gałęzi wiedzy zjazdy specyalistów, nie potrzebujemy omawiać w tem miejscu, aby przekonać czytelników, jak się na ten krok arbitralny zapatrywać należy. Nie potrzebujemy również wystawiać jego niekonstytucyjności, bo nie jest on niespodzianką żadną, ani faktem niebywałym w państwie Pruskiem. Miał przecież tyle precedensów, że bylibyśmy go sobie i tym razem najchłodniej złożyli do archiwum uprzejmości międzynarodowych hojnie dla nas szafowanych przez Niemcy dzisiejsze, z tem

nadto zastrzeżeniem z naszej strony, iż tak dobrze jak nie możemy nazwać go pierwszym, tak samo nie spodziewamy się wcale, aby miał być ostatnim. I byłaby na tem rzecz się zakończyła, gdyby fakt nie miał był innych następstw, przykrzejszych może dla nas w gruncie rzeczy od niemieckiego zakazu — następstw mówiących najjaśniej i najzrozumialej do każdego nieuprzedzonego sumienia, że jeśli Niemcy złożyli tutaj nowy dowód samowoli i zaostrzonej względem nas nienawiści plemiennej, to my z naszej strony zdaliśmy z nietaktu, nieposzanowania godności zbiorowej, i poraz nie wiem już który karconego a ciągle uzurpowanego przedstawicielstwa, egzamin z odznaczeniem.

Tymczasem komitet zjazdu, nie wiemy jaką już drogą rozumowania doszedł do konieczności wystosowania memoryału do ministeryum pruskiego, w którym stara się zmiękczyć tę władzę przedstawieniami, że nauka nie ma z polityką wspólności żadnej—że się takim zakazem kupcom, przemysłowcom, hotelarzom i różnego rodzaju handlarzom poznańskim dotkliwą wyrządzi krzywdę, i co najkrotochwilniejsza, to że lekarze polscy byliby z pewnością zwiedzili przy sposobności dużo niemieckich kurortów, a w następstwie wysyłali do nich pacyentów swoich.

Aj, aj, aj! Od czego tu wpierw zacząćby musiał ten, ktoby chciał komitetowi zjazdu podziękować tak jak sobie zasłużył.

Najprzód szczytem niemowlęctwa jest chcieć submissyą na piśmie wyrażoną przejednać nienawiść programową — szczytem nieobycia się w świecie tłumaczyć to, co ona wie równie dobrze jak my sami, albo lepiej od nas. Z tego więc punktu biorąc rzeczy komitet naraził siebie i tych, których niby reprezentował na śmieszność niezaprzeczoną. No! ale śmieszność to byłaby tylko połowa biedy, a tu jest i coś gorszego jeszcze.

Drugi argument, ten mianowicie, który zdaje się samą kwestyę nauki pokrzywdzonej usuwać na plan dalszy, a na miejsce jej wprowadzać tak poziomej natury względy, jak kramarskie zarobki, którym na skutek zaniechania zjazdu stanie się ujma, daleko przykrzejszem echem odbił się wśród całej myślącej części społeczeństwa naszego.

Gdyby się tego dopuścili byli sławetni poznańscy, w dodatku niemiaszkowie, byłoby to z ich strony zabawnem, nieokrzesanem i prostaczem nawskróś wystąpieniem, ale niby procesu niktby im z tego tytułu nie robił, bo już tam do różnych wybryków episyerskich nawykł świat oddawna, i ma dla nich w wielkiej księdze swoich bieżących spraw społecznych osobne zupełnie conto. Ale żeby nauka wojować chciała takimi środkami obrony, żeby ona usuwając się na stronę, wysuwała naprzód interesa kupieckie, to już tak jakby wyraźnie sama dawała do zrozumienia: „Już co my tam uradzimy, o to mniejsza—co postanowimy w kwestyach specyalnych na przyszłość, to tam świat na tem ani zyska, ani straci, ale bójcież się Boga, tyle festynów zapowiedzianych, na które liczyli restauratorzy, tyle mieszkań hotelowych, które stać będą pustkami, tyle towaru nierozprzedanego w Poznaniu dla braku lekarzy cudzoziemców...”

Nadzwyczajnie nietaktowne — niesmaczne, a nadewszystko nienaukowe wystąpienie, a i to przyzna każdy idzie jeszcze w cień przed tym ostatnim pociskiem, na który jak widać najbardziej liczył komitet, skoro go sobie na ostatni strzał w tym memoryale pozostawił. No i jest on istotnie najważniejszym—nie można inaczej powiedzieć, i za taki uznanym jest powszechnie u nas, nie mówiąc o tem, że tam w Berlinie serdecznej on musiał narobić uciechy, bo stary to już i niezbity jest pewnik, który mówi, że niema większej satysfakcyi dla nienawiści ludzkiej, jak widzieć dobrowolne upokorzenie się, nizkość i małoduszność tego, którego się nienawidzi

Bies poddał chyba ten pomysł komitetowi doprawdy! Słusznie powiada w nr. 29 „Głos” że albo komitet na seryo bierze możliwość napędzania tendencyjnego chorych z Królestwa do zdrojowisk i stacyj kąpielowych nadmorskich w Niemczech, wzamian za dozwolenie zjazdu, albo używa tej insynuacyi tylko jako fortelu, którym myśli przejednać czy uśpić czujność niemiecką. W pierwszym wypadku nieszczególnie zaleconem jest przed światłem ciało nasze lekarskie, którego członkowie mogą wysyłać chorego tu lub gdzieindziej, wedle tego, jak im, nie przekonanie ich własne a interes pacyenta, ale jakiś wzgląd inny—jakieś zaciągnięte w jakikolwiekbądź sposób postronne zobowiązanie, nakazuje—w drugim razie, jeśli to ze strony komitetu wybieg tylko, to w każdym razie wybieg nawskróś komiwojażerski, a nie doktorski. Trzeba przecież było rozważyć, że aforyzm starożytnych o Jowiszu i o wole daje się równie dobrze zastosować wprost, jak odwrotnie. Co ujść może od biedy między dwiema firmami przy wymianie zobowiązań, których jedna i druga strona zarówno dotrzymywać nie myśli, to w żaden sposób nie przypada do miary korporacyi naukowej występującej zbiorowo. Boć tutaj nie dwa podpisy odpowiadają te, które znajdujemy u spodu na memoryale, ale odpowiada korporacya lekarska, która od siebie do działania tych swoich przedstawicieli jakoby umocowała.

Oportunistą wolno każdemu być, gdy mu to do smaku, ale o tyle tylko o ile działa od siebie i za siebie—występując w imieniu ogółu musi i najbardziej zdecydowany oportunista wziąć pod uwagę, że nie wszyscy jeszcze u nas gotowi są na wszystko... byle handel szedł.

Przekonani jesteśmy, że większość lekarzy naszych bardzo dotkliwie odczuła brak godności tego rzekomo zbiorowego wystąpienia, i mamy też nadzieję, że na przyszłość podwoi ona wskutek tego ogledność gdy chodzić będzie o powierzanie reprezentacyi jej interesów.

K.

NAZNAKOWANY.

Kartka z życia naszego ludu.

(Ciąg dalszy).

Nie minął też i tydzień cały od tych oględzin, a już spoczywała Antoniowa na cmentarzu Zaleskim. Męczyła się biedactwo okrutnie przed śmiercią, a ciągle tylko upominała, żeby dzieciaczyny sieroty, jak mówiła, nie zabiedować i nie zatracić, bo co on chudak winien temu, że na świat przyszedł.

Taki był pierwszy okres życia tego Marka, który tylko biedę ze sobą na świat przyniósł, jak się z wszelką słusznością wyrażały te same kumy, co jeśli przepijały sumiennie wtedy na jego chrzcinach, to podwoić musiały przy tej nowej okazyi gorliwość, bo to już nietylko o chrześcijański pochowek zmarłej, ale i o swaty pozostałego wdowca chodziło.

Każda sprawa ma jak wiadomo swoje wymagania i swój czas odpowiedni.

Swadźby, o jakiej wspomnieliśmy, nie należy w takiej okazyi bynajmniej uważać jako przedwczesnej — owszem, obyczaj uświęca ją najformalniej między ludem przy uroczystości pogrzebowej, z nadmienieniem, że wtedy występuje ona po raz pierwszy jawnie i publicznie, a poprzedzają ją zazwyczaj na długo przed śmiercią jednego z współmałżonków konszachty, układy ciche, intryżki rozmaite, które się nierzadko odbijają boleśnie o uszy dogorywającego lub dogorywającej, i na które oni o tyle o ile nawet, wedle sił i przytomności umysłu swój wpływ wywierają. Praktykuje się to zwykle na mocy takiego przywileju, jaki sobie mocarstwa katolickie pierwszorzędne wyrobiły przy Conclave w Rzymie, mianowicie na podstawie prawa wyłączenia. Dogorywająca matka często upomina się, prosi, zaklina, aby nie tę — nie tamtą, a inną jaką naznaczono jej następczynią w tej chacie, w której pozostają jej dzieci. Rozumie się, idzie zawsze tej, która umiera o dobro sierot — idzie o złe najmniejsze— o dolę sierocą jak można najmniej czarną.

Nie wiedziały na pewno kumoszki jak im pójdzie swadźba po śmierci Antoniowej, ale że pójdzie nie wątpiła żadna. Chociaż po prawdzie ten Mróz to osobliwy był człowiek; zawsze i najlepszej rady niechętnie słuchał, i tem skończył, że postawił na swojem. I teraz oto naprzykład, proboszcz nawet trochę się z nim przy pochowku posprzeczał, choć organista znowu na cztery oczy bardzo mu chwalił, że taki honorny jest, nieprzymierzając, jak gdyby szlachcic jaki.

— Po co ci to, mój Antoni? — upominał ksiądz, gdy w sam dzień śmierci przyszedł on na probostwo rozmówić się co do pogrzebu — po co ci wspaniałości takie, kiedy to koszta mnoży tylko. Dzieci zostało ci kilkoro, a nieboszcze już z tego nic nie przyjdzie.

— Niech tam już dobrodziej zrobi, jak mówiłem.

— Wolać to twoja niby, ale do mnie należy zwrócić tobie uwagę. Nie bez tego, że-

byś się był na taką długą chorobę nie wykosztował, a i przez to także, że gospodyni nie było blizko przez rok, niejedno się tam zmarnować musiało, więc widzisz sam, że choćbym ja tego co niby dla kościoła przypada nie liczył więcej jak innym, bo to jak wiecie nie mój zwyczaj, ale zawsze bractwo za światło weźmie swoje, proboszcz z Zawady nie przyjedzie także za Bóg zapłać, a tu i grób murowany chcesz mieć, i nabożeństwo śpiewane, i nie wiedzieć co jeszcze. Niechby już tego światła zmniejszyć.

— Mówiła ona zawdy, że lepiej jej się modlić, kiedy widzi, że w kościele tyle świec jarzących Bogu na chwałę się pali. Niechby miała już tak, jak jej było błogo za życia..

— No, idźże z Bogiem — zakończył żegnając go.—Będzie jak chcesz, bo widzi mi sie, że ci nie o ludzi, a o nią chodzi. Idź z Bogiem — będzie jak żądasz.

A gdy już odchodzącego we wrotach zobaczył, poszepnął do siebie.

— Wezmą cię tam baby w obroty, to się biedaku ani obejrzysz, jak ci drugą na kark wsadzą, i tamta ci z głowy wyjdzie, i o dzieciskach zapomnisz, choć co prawda inny ty trochę jesteś jak bywają oni wszyscy w dniu takim. Ha, zobaczymy zresztą!

Przyszedł i dzień pogrzebu, odbyło się wszystko bardzo okazale, wieś była cała, a i z sąsiednich wiosek co było krewniaków i powinowatych, to wszystko stawiło się, bo się wieść już rozniosła, że takiego pochowku, to dawno nie widziano w Zalesiu, chyba jak pomarł młynarz Zbikowski, a ten przecie nie chłopski, a szlachecki prawie majątek dzieciom zostawił. Wiadomo też było, że kto na pochowek nie skąpi, ten dobrym ludziom po takiem długiem nabożeństwie o czczej duszy do domu powracać nie pozwoli. Do czegóżby to zresztą było podobne.

No i nie zawiódł się naród, bo kiedy się wszyscy w karczmie znaleźli wracając z cmentarza, to choć izba szynkowa w Zalesiu nie wiele mniejsza była od dworskiego śpichlerza, każdy był ugoszczony po chrześcijańsku, bo się też i propinator przygotował jak wypada po jakichś długich naradach z Antonim dnia poprzedniego.

Antoni siedział za stołem, chmurniejszym był jeszcze gorzej jak po zwyczaju, przepijał za niego jego stryjeczny—Mróz także z przezwiska, a on tylko ręce we włosy zapuścił i nie zajmował się ludźmi, nie wiele wiedząc nawet co w tej wrzawie wykrzykiwano, która się dokoła podnosiła. Od czasu tylko do czasu szedł do szynkwasu, i tam zaczerpnąwszy blaszanką wody ze stągiewki, pił jakby go złe jakie paliło na wnętrzu.

— Jużbyście też Antoni dali spokój — odezwał się Jędrzej Pietrzak, sąsiad jego o miedzę, ławnik—człek mowny okrutnie, zwłaszcza po drugim i trzecim kieliszku z rzędu.— Umarłego — prawił, obejrzawszy się po ludziach — jak to mówili starzy, płaczem nie wskrzesisz. A co się nabiedujecie, to tyle będzie waszego zysku. Jeszcze, czego Boże nie daj, czepi się z tej żałości choróbsko jakie do was, bo też i na świecie dzisiejszego dnia tak, że psa ciężko byłoby wyżenić z pod dachu. Przepijcie jeno do mnie — przepijcie somsiedzie, na ten frasunek, na to sieroctwo wasze, i na wieczne nieboszczki odpoczywanie.

— Oj, że sieroctwo, to sieroctwo — odezwał się zawodzący głos kobiecy tuż za uszami Antoniego, a wraz z tem zbliżyła się cała grupa niewiast, która tak wyglądała, jakby im to odezwanie hasłem było umówionem. — Już też ona wam, mój kumie kochany, wołała z nich jedna, ani strawy nieboraczka więcej nie uwarzy, ani chust nie upierze, ani dziecisków nie dojrzy, co tam teraz niebożęta tulą się do siebie w tej pustej izbie. Już wam też i niejako będzie pokurać se bez niej na świecie, boć to żeby prawdę rzec, a nie zełgać, to choćby ze świecą w dzień szukał, to na okoliczność drugiej takiej nie znajdzie. To już macie wiedzieć mój Jantoni kochany, że choćby drugą przywiedli wam we złocie całą, i piękną jak ta lilia nieprzymierzając, a dobrą jak chleb z miodem, a mądrą i gospodarną jak oczy ludzkie nie oglądały, to ona dla was ani taka mądra, ani taka dobra, ani taka gospodyni nie będzie jak tamta, bo to tak już wola tego Boga Wszechmogącego postanowiła, żeby się człowiek marny zawdy oglądał za tem co od niego odeszło, a nigdy uciechy nie miał i nie korzystował sobie w tem co ma. A tu jak na złość trzeba nieszczęśliwemu zamknąć w sobie to bolenie całe i pamiętać, że wedle dziecisków niebożąt i wedle onej chudoby, to tak akuratnie gospodarzowi pohapno bez gospodyni, jak robotnikowi bez onej ręki prawej, co to ani krzyża świętego bez niej nie nakrzyślić, ani łyżki warzy do gęby zanieść. Oj tak, tak kumie, mój serdeczny, w prochby się ten dobytek wasz duchem rozsypał, żeby to tak ostać miało, jak teraz jest z dopustu Bożego. Wy sobie nawet nie imainujcie, żeby wam ludzie dobrzy odkaduszy dali, co do onego jenteresu, bo wy sami dzisiejszego dnia na to głowy nie macie, a jeno muszą drudzy za was wziąść to na swój rozum, i gębą nadsztukować, i karku nadstawić, i spenetrować mądrze wszystko, bo to przecież chrześcijanyśwa wszystkie, a nie żaden z przeproszeniem naród pogański, i każden wie, że co drugiemu dzisiaj, to mnie nie daj Boże jutro.

— To się wie — to się wie, somsiedzie kochany — zaczęła druga, wysuwając się przed tamtą, a torując sobie łokciami drogę. — Nie dadzą wam dobre ludzie zmarnieć, ani chudobie waszej, ani dzieciskom sierotom — tem się darmo nie frasujcie, boście tu między swojakami, i kużden wolałby na to mówiący swoją krzywdę, jak waszą krzywdę, i każdy krwiby se z palca serdecznego utoczył, żeby wam usłużyć lepiej jak swemu najrodzeńszemu.

— Jeno, mój Jantoni, weźcie sobie też i to na rozum, żeby się was jakie szałapuckie ręce nie uchwyciły, bo byście po próżnicy biedy napytali dzieciskom i sobie, a obrazy Bozkiej — więcej nic. Łatwo to się jednemu i drugiemu wydaje, co to taki otwarty niby jest do swatów, sprządz do kupy dwoje, a tu rok nie minie, a już jedno od sasa, drugie od lasa — jedno od Boga a drugie od dyabła — da ruj Panie, że go wspominam pod tę ciemną noc. To na nic taka robota, i to lepiej, żeby takie ludzie swojego nosa patrzyli, a w cudze sprawy go za pozwoleniem nie wtykali, bo to nie byle kto ma na to pomiarkowanie, i nie byle komu się brać za takie rzeczy.

— Gadacie wy, moja Jamrozina, jakby organista z książki czytał, i taki coby was nie znał, toby myślał, że wy tacy w sercu jak w języku, ale nie bójcie się, wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi — wiedzą kumy jakie u was rozumy. Wy tu nie przepijajcie do mnie, i nie rozprawiajcie o szałapuckich rękach, bo to nie ja jedna wiem, ale wie wójt i cała gromada jakie u was pomyślenie jest w głowie. Sroki już po płotach skrzeczą o tem, co u was z za pazuchy sterczy; Maryśkę Jędrzejową uwzięliście się wpakować na matkę trojgu dzieciom — na gospodynię takiemu człowiekowi, co już przecie nie wyskoczek żaden, ale gospodarz wypracowany i wypraktykowany we wszystkiem—takiemu co jemu robota w głowie a nie głupstwa nijakie. A jużci, Maryśka! — niedoczekanie wasze! słyszycie! Jak Jantoni mają brać Maryśkę, to niechże sobie wezmą i Józefka Młynarczyka za parobka — będzie odrazu cały porządek w chałupie. Szałapuckie ręce! Nie widzieli jej.

— Matko pana naszego! kobieto! — co do was przystąpiło? W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! Prędzejbym się śmierci spodziała, jak takiej napaści dzisiejszego dnia. Ni za to, ni za owo sponiewieraliście gospodarską córkę i tego wam, moi drodzy, nie darują ani jej ojcowie, ani żaden z jej krewniaków, ani choćby nawet i ten Józefek, którym se zębów nie wycierajcie lepiej, bo z niego chłopak jest do wszystkiego, i gotówby wam wprędce zapłacić, aleby wam ta zapłata w pożytek nie poszła. Nie udała wam się Maryśka—to co z tego? Wasza głowa w tem? wasze rządy? A ja wam powiadam, że jaka ona jest, to jest, ale nie obieżyświat żaden, ani nie przekoczka żadna, choćby jak ta Rozyna, co wam od niej dwa zagony na len już obiecali, jeśli ją wpakujecie Antoniemu. Chcieliście to macie—nie wywołujcie wilka z lasu. Ja se spokojna kobieta jestem, ale jak na mnie kto ni za to, ni za owo kamieniem, to ja na niego dwoma.

I rozpoczęło się teraz dopiero piekiełko co się zowie, potworzyły się stronnictwa dokoła powaśnionych swatek, a izbę karczemną napełniła wrzawa, w której już nikt nikogo dosłyszeć nie mógł. Najlepiej wyszły na tem te kandydatki nieszczęśliwe, na których suchej nitki nie pozostawili ich przeciwnicy.

Co do Antoniego, to on właściwie nie dobrze wiedział o co chodzi, a nawet i dziesiątej części nie dosłyszał z tego, co mu do ucha starano się włożyć. Jak się już tak zagotowało na dobre, on powoli zaczął się rozglądać po izbie, a dojrzawszy kogoś przy drzwiach wchodowych, do którego jak widać miał sprawę, zaczął się ku niemu po przez całą krzykliwą ciżbę ludzką przepychać. Znalazłszy dwie babki kościelne stojące przy kominie pokornie, zbliżył się ku nim i poszepnął cicho:

— Zajdźcie tam matki jedna i druga jutro rano do mnie. Może się tam co dla was znajdzie.

Poczem nie obejrzawszy się nawet za siebie, znikł w ciemnej sieni, i już go dzisiaj więcej nie widziano na tej pogrzebowej stypie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA.

Dobroczynność.

Ś. p. Władysław Pawłowski pozostawił zapis rs. 1,000 na odzież ciepłą dla dzieci uczęszczających do IX ochrony im. ks. Baudouin'a. Towarzystwo przyjęło dar i uprosiło wdowę zapisodawcy p. Helenę Pawłowską, aby zechciała wraz z opiekunem ochrony p. Ksawerym Nalepińskim zająć się tą sprawą.

Dom sierot pozostałych po robotnikach fundacyi bar. Lenvala mieści obecnie 37 wychowańców, z których 17 pozostaje w terminie, a reszta w miarę przygotowania wstępuje do szkół początkowych lub rzemieślniczych. Wkrótce jednakże zakład pomieści 50 pensyonarzy, buduje się bowiem w obrębie posesyi oficyna przeznaczona specyalnie na internat dla chłopców starszych oddanych do terminu na mieście, nad którymi jednak instytucya nie zrzekała się i dotąd opieki, aż do czasu ich wyzwolin na czeladników.

Znany powszechnie przemysłowiec tutejszy p. W. Rau ofiarował 30.000 rs. na rzecz domu sierot po robotnikach fundacyi bar. Lenvala, pod warunkiem, ażeby za procenta od rzeczonej summy znalazło w przytułku pomieszczenie 10 chłopców sierot wskazanych przez ofiarodawcę.

Szkoła.

Liczba szkół rzemieślniczo niedzielnych ma być w roku przyszłym powiększona o jedenaście nowych jedno i czteroklasowych—razem dla 900 terminatorów. I tutaj jednakże nie stanie się jeszcze zadość obecnemu zapotrzebowaniu, w roku bieżącym bowiem odmówiono z braku miejsca 1,278 kandydatom, a liczba ich wzrasta z roku na rok.

Inspektor szkoły handlowej niedzielnej zawiadamia członków zgromadzenia kupców m. Warszawy, iż zapis praktykantów handlowych do tej szkoły zaopatrzonych: w świadectwa urzędu starszych zgromadzenia, metrykę urodzenia, i świadectwo szczepionej ospy, odbywać się będzie w kancelaryi szkoły w d. 9 i 11 Sierpnia r. b. od godziny 6 do 7 po południu, egzamina zaś będą mieć miejsce w dniach 21 i 23 Sierpnia r. b. od godziny 9 rano w lokalu szkoły realnej Trejdosiewicza (Złota 30).

Przyjmowanie kandydatów do szkoły rolniczej w Sobieszynie odbywać się będzie w dniu 29 Sierpnia. Kandydaci do klasy I w wieku od lat 14 do 18 składają egzamin wedle programu dla szkół elementarnych dwuklasowych—kandydaci zaś do klasy przygotowawczej stosownie do programu szkół elementarnych jednoklasowych. Dowody wymagalne: metryka urodzenia — świadectwo lekarskie dotyczące zdrowia i szczepienia ospy—świadectwo pochodzenia i sprawowania się wydane przez policyę — świadectwo szkolne. Dowody te należy przesłać do zarządzającego szkołą sobieszyńską, adresując do stacyi Iwangród, najpóźniej do dnia 20 Sierpnia. Najbliższe stacye: Iwangród, odległy od szkoły o wiorst 25 — na drodze Iwangrodzko-Łukowskiej przystanek Ryki o wiorst 12.

Dziwne objawy.

W dniu 21 b. m. o godzinie 8 wieczorem przechodzący ulicą Marszałkowską byli świadkami nadażycia krzyczącego, które przez to samo, że nie wywołało czynnego protestu, ztwierdza zupełne zobojętnienie publiczności naszéj na krzywdę, jaka się bezkarnie wyrządza u nas istotom bezbronnym. Fakt był taki: Tragi ręczne obciążone dwiema niewykończonemi kanapami, oprócz innych jeszcze sprzętów stanowiących razem wysoką piramidę, niosło dwóch ludzi. Jednym z nich, tym mianowicie, który szedł na przodzie, był człowiek dojrzały wiekiem i dobréj budowy — ten który postępował z tyłu był chłopcem lat mniej więcej 14 tu, licho dosyć rozwiniętym fizycznie, i wogóle mizernego wyglądu. Nie licząc tego, że wskutek nierówności wzrostu niosących, znaczna część ciężaru przeważała na stronę niższego wzrostem, były jeszcze tragi jakgdyby umyślnie przeładowane ku tyłowi. To też dosyć było spojrzeć na twarz nabiegłą krwią i spotniałą dziecka, na jego oczy wyszłe z orbit i krok chwiejny, żeby zrozumieć doniosłość barbarzyńskiego postępku tych, którzy mieli sumienie takim siłom nierównym ten nadmierny ciężar powierzyć. Stawających osób było dosyć, bo widowisko było istotnie ciekawe, a ruchy tego chłopca, którym tragi miotały na wszystkie strony, nie były nawet, w mniemaniu niektórych, pozbawione pewnego komizmu. To też kto był weselszy usposobieniem miał uciechę prawdziwą, a kto się liczył do ludzi poważniejszego sposobu myślenia, ten szedł za swojemi sprawy.

Oto co się dzieje tam, gdzie sobie ludzie zaprzątają głowy takimi ideami jak towarzystwami opieki nad zwierzęciem, i gdzie każdy filister zawre oburzeniem kiedy koń ciągnie wóz nadmiernie wyładowany. Na cierpienia człowieka nie starczy widać w takich warunkach czasu, a co ważniejsza nie starcza współczucia.

Zastosowanie odkrycia.

Pomiędzy doświadczeniami dokonanemi przez lekarzy z odkrytymi niedawno promieniami Röntgena, do najciekawszych należą badania przedstawione obecnie paryzkiej akademii medycznej przez lekarzy z Lyonu: Kelscha i Boinon. W doświadczeniach chodziło o wczesne wykrycie rozwijającej się gruźlicy. Wymienieni lekarze już od wielu miesięcy badali piersi młodych ludzi przy pomocy radyoskopu. Pacyentów oglądano od strony pleców, gdyż w taki sposób otrzymywano na ekranie jaśniejsze wyobrażenie klatki piersiowej. Płuca zdrowego człowieka są przezroczyste od dołu do góry, i na otrzymywanych obrazach wszystko się porusza i żyje. Z podnoszenia i opadania żeber widzimy ruchy oddechowe; daje się rozpoznać bicie serca i ruch przepony podnoszącej się przy wdychaniu aż do 6 żebra i opuszczającej się przy wydychaniu do 8 lub 9, a więc przenoszącej się przy każdem oddychaniu o 8—10 cm.

Nauczywszy się dokładnie rozpoznawać obrazy klatki piersiowej, badacze starali się odkryć cechy, za pomocą których możnaby rozpoznać obecność gruźlicy.

Badaniu poddano 124 osoby przyjęte do szpitala z rozmaitych powodów, u których jednak gruźlica zwykłymi sposobami nie mogła być wykryta. W 51 wypadkach zauważono rozmaite zmiany w normalnym stanie płuc, a mianowicie zmniejszenie przezroczystości jednego lub obu wierzchołków płuc i opłucnej, a także zmiany w pęcherzykach powietrznych w jednem lub obu płucach. Ponieważ wierzchołki płuc i opłucna stanowią główne ogniska gruźlicy, można przypuszczać, że zauważone w tych organach zmiany są oznakami początkowego jej rozwoju, a do tego odkrycia nie posiadała dotąd medycyna środka. W pięciu przypadkach późniejsza sekcya wykazała trafność postawionej dyagnozy. Gdyby i dalsze wyniki badań d rów Kelscha i Boinon odpowiedziały pokładanym w nich nadziejom, natenczas odkrycie to byłoby jedną z najważniejszych zdobyczy naukowych, jakie medycyna zawdzięcza zastosowaniu promieni Röntgena.

(Elektrotechnische Rundschau). (Wszechświat).

Wskazówki i rady.

Powidła porzeczkowe.

Są sady, w których się tak rozpleniły porzeczki, że całe aleje zasłane są krzakami porzeczek, przez które zaledwie przedostać się można. Otóż takie gospodynie, które mają tyle porzeczek, że i konfitury i galarety, a nawet wina porzeczkowe mają z czego zrobić, i jeszcze zostaje dużo pośledniejszych, mogą zrobić z nich powidła, mieszając nawet białe z czerwonemi. Na dwa garnce oberwanych z gałązek porzeczek i opłukanych, wlać w rondel pół kwarty wody, gdy się zagotuje wsypać porzeczki, przykryć pokrywą i gotować potrząsając rondlem aby wszystkie porzeczki popękały—zawsze nie na zbyt silnym ogniu. Można warząchwią drewnianą mocno wymieszać, rozcierając porzeczki. Gdy znać że wszystkie się dobrze rozgotowały, wylać na rzadkie, włosiane koniecznie, sito, bo na mosiężne kwas porzeczek by źle działał, i przecierać drzewnianą łyżką tak długo i starannie, aż tylko pestki i łupinki na sicie zostaną. Przetartą miazgę wlać napowrót do róndla, gotować na wolnym ogniu z godzinę, wsypać trzy lub cztery funty miałkiego cukru i gotować jeszcze najmniej godzinę, ciągle drewnianą łyżką mieszając, żeby nie przywarło do rondla. Porzeczki mają tyle galaretowych części w sobie, że dłużej gotować nie trzeba. Powidła czyli marmelada będzie już dostatecznie gęsta. Owoc powinien być dojrzały, a czy do leguminy, naleśników, tortów, mazurków, czy nawet posmarowana bułeczka wyborne smakuje.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

W na M. Noth... w Sejnach. Zmiana adresu kosztuje kop. 15.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

TREŚĆ: Marya Rodziewiczówna: Kądziel (dalszy ciąg). — Franciszek Chateaubriand, wspomnienie historyczne (dalszy ciąg). — Ze zjazdu lekarzy niemieckich.— Niefortunne wystąpienie. — Naznakowany, kartka z życia naszego ludu. (dalszy ciąg) — Kronika. — Ogłoszenia. — Edmund Chojecki: Alkhadar, powieść z życia ojców naszych (dalszy ciąg).

Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Іюля 1898 г. Warszawa Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

— Nikt nie bywa, nikogo tu nie ma, oprócz kwiatków, które co poranek mają coś nowego do powiedzenia—oprócz tych słów, jakie mówisz przy pożegnaniu, a które zostają po tobie w tym domku, brzęczą twoim głosem, świecą twojemi oczyma, coraz inaczej, a zawsze tak lubo dla mnie się układają, choć wyraźnie boją się mego wzroku, bo dopiero gdy zamknę oczy, to zaczynam je słyszeć, dopiero gdy niepatrzę, to ciebie widzę, ale tak dobrze, tak blisko widzę, jak teraz, kiedy tu na mojem sercu wspierasz drogą twoją głowę.

— Trzeba przyznać, że bardzo ci z tem wygodnie; wszystko bowiem jedno, czy jestem tu, czy gdzieindziej.

Nastusia nic nie odpowiedziała.

— Odnieśli ci dwa pudełka i paczkę, przywiezione ze Lwowa?

— Odnieśli.

— I nic mi nie mówisz?... nie ganisz, nie chwalisz mego wyboru?

— Nie otwierałam jeszcze pudełek.

— Zgaduję; rzuciłaś się naprzód na paczkę. W istocie, co za szkoda, że nie urodziłaś się chłopcem! Z tą namiętnością do książek wykierowałabyś się na pierwszego w Galicji bakałarza, a może nawet na samego księdza biskupa. Wreszcie, bez tego przekonany jestem, że i dziś więcej umiesz od naszego proboszcza.

— Nic ja nie umiem, niczego się nie nauczyłam; co wiem, to sama z siebie. Mądrzy ludzie wiedzą to, o czem nie myślą, na co nie patrzą, a ja wtedy tylko coś wiem, kiedy widzę, albo kiedy bardzo się zamyślę. Tak teraz, myślę sobie, a jednak nic nie wiem, a przecie zgaduję...

— Cóż takiego, Nastusiu?

— Oto, że musiałeś chorować w tym przeklętym Lwowie; zmieniłeś się, zbladłeś, pochudłeś nawet trochę.

— Nie spałem przez kilkanaście nocy. Dziwna rzecz! w mieście cierpię zwykle na bezsenność.

— Mój Boże! - zawołała z uniesieniem dziewczyna — i ja nie byłam przy tobie, ja, która cię tak doskonale usypiam mojemi opowiadaniami.

— Wierzaj mi, luba, nie byłabyś na nic się przydała; wreszcie dziś nie czuję już zmęczenia i przy tobie znowu odżyję.

Ostatnie słowa Wilczek wymówił takim głosem, że Nastusia zadrżała. Żadne spojrzenie, żaden uśmiech nie towarzyszył jego wyrazom; znać było, że nie sercem, ale ustami tylko wypowiadał suchą grzeczność. Opuściła w zamyśleniu rękę, którą bawiła się z jego włosami i umilkła.

Hrabia pierwszy przerwał milczenie.

— Otóż to — mówił z goryczą—tak zawsze dzieje się ze wszystkiemi nadziejami. Nawał przeklętych interesów zawlecze człowieka do miasta; trudy, kłopoty, frasunki zewsząd go obsiądą, skołatają mu zdrowie, i kiedy nareszcie nieszczęśliwy potrafi im się wydrzeć, połowę zostawiając Opatrzności, kiedy chciałby skrzydeł sobie pożyczyć, aby czemprędzej wrócić do domu, w nadziei, że tam jedna chwila całą przeszłość mu wynagrodzi, wtedy, w upragnionym tym domu, kwas podają mu zamiast słodyczy. Zawcześnie, jak widzę, przyjechałem; nudzi cię moja obecność. Ile razy na mnie spojrzysz, milczysz i smutniejesz; uśmiechy twoje i wesołość zachowujesz sama dla siebie,—kiedy niema mię w domu. Niech wyjdę za drzwi, jestem pewny, że wnet twarz odmienisz. Milej ci w samotności z twojemi rozszalałemi bredniami, które kiedyś do szpitala obłąkanych cię zaprowadzą.

Nastusia zerwała się, uklękła przed Wilczkiem, złożyła obie ręce jak do modlitwy.

— Mój panie, mój drogi, mój kochany! — mówiła drżącym od łez głosem — w czemże ja tak zawiniłam? że trocha smutno wyglądam; to dla tego, żem tak długo czekała, — a teraz mało się odzywam, bo nie mogę ochłonąć ze szczęścia, bo skoro mówię, to nie mogę tyle się patrzeć, a ja chcę patrzeć tylko i patrzeć na ciebie. Zaraz, poczekaj — będę weselszą, tylko przemów do mnie jak dawniej; prawda, jam winna, ale ty taki dobry — ty mi odpuścisz...

Upłynął miesiąc.

Wilczek trawił poranki na posiedzeniach z rządcą; poczem zwykle siadał na koń i pędził w pole, niewiadomo, czy w gospodarskich celach lub też aby zatłumić niepokoje, jakie budził w nim rozchwiany stan jego interesów.

Hrabia szeroko używał życia, ale brał je ze strony praktycznej; złudzeniami żadnemi nie poił się i nie wierzył w nie. Był to jeden z ludzi najmniej wyrachowanych, chociaż doskonale znał się na rachunkach. Długo, nie wdawał się zupełnie w swoje interesa, powierzył zarząd dóbr agronomowi, na ten cel ze Szląska sprowadzonemu, osobiście zaś postanowił nie dać się oszukać przez czas, i sam raczej zużyć młodość, niż pozwolić, aby wiek, kropla po kropli, mu ją wysączył. Kwestyę majątkową odłożył do pojutrza tego święta młodości, które zamierzył był na pół życia rozciągnąć. Natenczas, z równą wyłącznością miał oddać się skupianiu grosza do grosza.

Na nieszczęście, święto nie dobiegało jeszcze południa, gdy niespodziany wypadek zatrzymał nagle tryumfalny pochód jego kapłana.

Szląski agronom oznajmił hrabiemu, że niektórzy wierzyciele gwałtownie się odgrażali.

Wilczek kazał podać sobie rachunki, inwentarze, wykazy.

Pomimo objaśnień rządcy, który wszelkimi sposoby pragnął mu rzeczywistość zasłonić, jednym rzutem oka zmierzył otchłań, w jaką pędziła go własna lekkomyślność.

Przejażdżki do stolicy, pobyt w Wiedniu, podróże do Lwowa, gonitwy, gra, przyjaciele, uczty,—mniej więcej w żydowsko-niemieckich nazwiskach, pozapisywały swoje wspomnienia w księgi hypoteczne dóbr pozostałych po ojcu Władysława i po babce Starościnie.

Nadto, literatura ulotna, czyli doręczne weksle, przedstawiały znaczną rubrykę.

Należało zapobiedz oczywistemu niebezpieczeństwu.

Pierwszą drogą, ku temu celowi wiodącą, było przykrócenie trybu życia, zaparcie się tych uciech i wystawnych rozkoszy, jakich młody panicz był wcieleniem, najwyższym wyrazem. Z pana trzeba było przerzucić się w hreczkosieja; z przywódcy młodzieży, z Amfitrjona tej nieustannej biesiady, wypadało zejść na obojętnego postrzegacza, przybrać całkiem podrzędne w społeczeństwie stanowisko.

Wilczek, po długim namyśle, stanowczo odepchnął ten środek.

— Liche trzciny — mówił sam do siebie — gną się za lada powiewem; w szlachetne drzewa grom uderza, ale ich nie ugina.

Hrabia czuł w sobie uroczystą powagę dębu. Zalety, jakiemi błyszczał na świecie, czyliż na to przypadły mu w podziale, aby miał pod brzemieniem ciężkiej pracy zdławić je na wsi? Czyliż upodobania, popędy, smak wykwintny, prawdziwie pańskie zamiłowanie w zbytku, natura w nim na to zaszczepiła, aby nikczemnie je powarzyć w samotnych, wiejskich kłopotach? Widocznie była w tem pomyłka losu, którą należało sprostować, nie gwałcąc w niczem wrodzonego charakteru.

Dla pogodzenia głosu natury z wymaganiami wierzycielów, należało tych ostatnich zaspokoić, w niczem przyjętego trybu życia nie zmieniać, nadal jednak majątkowo tak się urządzić, aby nie dopuszczać więcej podobnych sprzeciwieństw między dochodami a usposobieniem.

W tych terminach Wilczek postawił sobie do rozwiązania zagadkę.

Plan atoli chybiał raz w założeniu, to znowu we wnioskach; rwały się gałązki, pękały kładki jedna za drugą. Wilczek jasno przewidywał, że jeżeli nie ugnie się, zginie,—a poprzysiągł był za żadną cenę się nie ugiąć.

Troski truły mu spokojność.

Uchylony z pod widoku ludzi równego mu położenia, zrzucał ujmującą maskę obejścia, za lada wykroczenie buchał niepohamowanym gniewem, za lada słowo odpowiedzi, wpadał w szalone zapędy.

Domownicy drżeli przed nim; wieczorem, czeladź w kuchniach dziwy opowiadała o uniesieniach hrabiego, wspominając pokątnie tajemniczą śmierć jego ojca.

Nastusi, każdy dzień więcej ciężaru przywalał na piersi; ciasno jej było w domku, duszno na wolnem powietrzu, dreszcz ją zimny przejmował, gdy wieczorami, po krótkiej, ucinanej rozmowie, Wilczek w roztargnieniu wpatrywał się w nią szklistemi oczyma, jak w obojętny przedmiot.

Innym razem, dostrzegłszy ślady łez, hrabia ukłuty pod serce wyrzutem sumienia, porywał ręce Nastusi, okrywał je gorącemi pieszczoty, nazywał językiem pierwszej miłości, śmiał się gwałtownie i często szukał upodobania, a może i ulgi w licznych kielichach.

Po jednym z takich wieczorów, Wilczek, zwyczajem swoim, legł na kobiercu u stóp

wieśniaczki, głowę wsparł na jej łonie, i rad, że uniknął twarzą śledzącego wzroku dziewczyny, jął myślą przeżuwać zwykłe wędzidło trosk i zabiegów.

Północ już dochodziła, zdejmując nerwom człowieczym ostatnie obrączki; Nastusia ukołysana jedwabnemi słowy kochanka, jako te nocne kwiaty, które księżycowi tylko rozchylają puhary, zapomniała o troskach, ku gwiazdom rzuciła myśli i wpadła w zwykłe marzenia, to głaszcząc srebrnym a półcichym głosem wywołane fantazyą obrazy, to przyzywając je uśmiechem i spojrzeniem gdy znikały z przed oczu jej ducha, gdy tonęły gdzieś w mglistej przestrzeni, i niby boska prządka niżąc kwiaty i perły, iskrzące kamienie i barw tęczowych miliony, rościelała przed kochankiem fantastyczne zawoje swoich widziadeł.

Ostatnie jedno akordy tej muzyki słów, te, w których mimowolnie wybija się głos tajemny przeczucia, sama nie pojmując dla czego, urywała zgrzytliwie, boleśnie, tak że cień od nich padał długim, kirowym słupem na duszę jej, przerażoną niespodzianym rozdźwiękiem.

— Chorą masz tę piękną twoją głowę—mówił do niej Wilczek—ale tak miło chorą, że gdybym cię mniej kochał, radbym, abyś nigdy nie wyzdrowiała. Śmierć nazywasz liliowym snem; zaprawdę musisz bać się tej kościstej Jejmości, skoro jej tak pochlebiasz.

— Bać się?... ja się niczego nie boję; chyba tylko... tak, tak, tego jednego się boję.

— Czegóż takiego?

— Powrócić, tam... do chaty, gdzieby mi drzwi nikt już nie otworzył.

Wilczek nie odpowiadał.

— Mój luby panie, nie śmierci ja się boję; takby mi dobrze z nią było, gdyby chciała, teraz oto, w tej chwili mnie do siebie przytulić; albo też we śnie, w takim, jakie czasami na mnie schodzą; możeby wtedy mnie i mój sen gdzie razem przeniosła, tak, abyśmy na wieki już się nie rozłączyli. Ale nie każdemu Pan Bóg ześle takie szczęście, jako tej dziewczynie, o której mówi piosenka. Mało też kto umie sobie na taką łaskę zasłużyć. Ona nacierpiała się nieboga, a nikt jej w życiu nie pożałował, nikt nie dał dobrego słowa.

— O jakiej piosence prawisz? — przerwał Wilczek z uśmiechem; — widzę, że znowu jakaś przybyła podczas mojej nieobecności. Tem lepiej; lubię, moja miła, twoje piosenki, i jeżeli zechcesz, rad posłucham.

Nastusia pokręciła głową, spuszczając oczy, zwyczajnie jako wieśniaczka, która się wzdraga. Wilczek, świadomy tego wstępu, bynajmniej na nią nie nalegał i miał słuszność, gdyż po chwili, dziewczyna głosem, który niewiadomo, czy mowę czyli też śpiew wyrażał, zaczęła rozpowiadać.

W pokoju głucha i długa zaległa cisza.

Piosenki dziewczyny snać wpędziły Wilczka na szlaki głębokich rozmyślań. Hrabia nie zmienił postawy; wyciągnięty, jak widzieliśmy wyżej, u stóp kochanki, z głową na ramieniu jej wspartą, zachowywał nieruchomość posągu.

Żal ścisnął serce Nastusi; z jej to winy roje czarnych myśli płynęły na ukochanego pana; rozświeciła lice łagodnym uśmiechem, schyliła ku niemu pokornie głowę, chcąc wzrokiem w oczach lubego wybłagać przebaczenie. Zbliżywszy twarz swą ku obliczu Wilczka, mimowolnie drgnęła; głęboki wyraz boleści rozłamał się w jej rysach.

Wilczek spał kamiennym snem.

On spał!... jemu dał zasnąć łoskot gorącego serca kochanki. Namiętne słowa, tkliwe uczucia i głos pieszczotliwy, i pierścień białego ramienia okrążający mu szyję — w nim sen tylko budziły!

Ona z najskrytszych zawojów duszy dobywała wrażenia, ona rzucała mu pod nogi najmilsze kwiaty swej wyobraźni, ona, dla każdego słowa, dla każdej myśli, dla każdego uczucia, w sercu umiłowanego szukała odgłosu, ona mniemała, że przy nim mogłaby wiecznie przemarzyć, przegadać, a on przez wieczność jej słuchać!... Biedaczka!... On spał!

Nastusia, jakby dla przekonania się, czyli sama nie śpi, ukryła twarz w dłoniach. Lampa błysła ostatnim płomykiem i zgasła. Dreszcz zimny przebiegł, trwoga zdjęła dziewczynę; zdawało się, że z tym ostatnim płomykiem ulatywała ostatnia iskra nadziei jej szczęścia.

Lękając się lada poruszeniem obudzić śpiącego, zwolna ważyła ciało ku wezgłowiu i—oparłszy się na łokciu, wpadła w bezdenną toń powikłanych dumań.

Próżne nadzieje!... straszna rzeczywistość nie pozwalała przystępu złudzeniom.

Dawna Wilczka wesołość, niewymuszona swoboda obejścia, z każdym dniem ustępowały miejsca zimnemu roztargnieniu, a czasami nawet i cierpkim zapędom gniewu. Stosunki, raz puszczone tą pochyłością, gdzież miały się zatrzymać?... Nastusię zawrót głowy porywał, ile razy niepotrzebnie rzucała wzrok w tę otchłań piekielnych niepewności, jaką sądziła, że przyszłość wkrótce przed nią otworzy. Drżała wtedy przed samą sobą, przed odzwierciedleniem własnej postaci, zwłaszcza też przed wyrazem, jaki w chwilach zapomnienia zalegał twarz jej kochanka. Biedna!... opuściła ku piersiom zwątpiałą głowę; czuła, że przytomność ją odstępuje.

Nagle, w oddali, rozdarł milczenie dźwięk pocztarskiej trąbki.

Nastusia mimowolnie usunęła ramię; Wilczek poskoczył na nogi.

Ciemność otaczała go dokoła; szczęściem w tej chwili przez szparę okiennicy wdarł się promień księżyca i padł na siostrzane blaskiem lica dziewczyny.

— Zdrzemnąłem się — rzekł Wilczek, przecierając oczy — ale widzę, że i ty nie lepszaś odemnie; pozwoliłaś lampie zagasnąć.

— Nie widziałam kiedy zgasła — odrzekła cichym głosem wieśniaczka.

— Wierzę... kto śpi, nie patrzy. Szczególniejszy miałem sen.

— Jaki sen?

— Nic ciekawego, moja luba, nie umiałbym go nawet powtórzyć. Wreszcie, był to sen wcale nie poetyczny; tyczył się moich interesów; długo nie mogłem znaleźć sobie rady.

Tentent kopyt końskich i warkot kół coraz się przybliżały. Pocztylion na całe piersi trąbił pobudkę.

— Masz tobie! — zawołał Wilczek — znowu jakiś przyjacielski najazd; właśnie kiedy najwięcej potrzebuję spokojności.

— Czyliż nie spodziewałeś się temi dniami gości ze Lwowa?

— Tak jest, w istocie, ale pochlebiałem sobie, że może raczą nie dotrzymać mi obietnicy. Cóż czynić?... każdy dźwiga swój krzyż. Do widzenia, moja miła! Przeklnij tu za mnie tę nieszczęsną gościnność, dzięki której nie znajdę jutro czasu zajrzeć do ciebie.

Wilczek pocałował w czoło Nastusię i śpiesznie wybiegł do pałacu na przyjęcie gości.

— Przeklęty zamiar! — mówił sam do siebie z zachmurzonem czołem — czyliż do wypełnienia go innych środków niepodobna wynaleźć? Tyle sobie nad nim nałamałem głowy!...

Darmo! na gwałtowne choroby trzeba gwałtownych lekarstw... Przecież i sam Wielki Napoleon... Co począć?... Zwierzęciu nawet uprzykrzy się to samo zawsze jarzmo. Z tem wszystkiem, twardy to będzie orzech!... Ha! mniejsza z tem. Niema w czem wybierać!

V.

— Powiadasz, panie Lumpan, że arendy za dwa lata z góry wybrane?

— Tak jest, Jaśnie Wielmożny Grafie; oto regestra i pokwitowania.

— To dobrze. Gdzież więc podziały się pieniądze?

— Pewną część JW. Graf rozkazał przesłać sobie do Lwowa; resztę wypłaciłem Szmulowi Goldbergowi za należne procenta.

— Do stu piorunów!—krzyknął Sokolnik—od kiedyż to Waszmość przywłaszczyłeś sobie prawo rozrządzania funduszami bez wyraźnego mego rozkazu?

— Nie miałem ani chwili do stracenia, inaczej nie byłbym poważył się...

— Zapewne! droższe ci twoje chwile niż moje pieniądze. Darmo! darmo! piekielne czasy! nikomu zaufać niepodobna! Ależ, przez miłość Boską! to gorsza od rozboju na publicznej drodze! Jeszcze jeden stopień wyżej, a nie zaręczam, czy nie przyjdziesz z nożem prosić mię o życie lub o pieniądze.

— Z tem wszystkiem, Jaśnie Wielmożny...

— Niema tłumaczenia! Wiesz Acan ile mam interesów na głowie, ile wypłat, ile wydatków na utrzymanie domu! W przeciągu dwóch tygodni zaszczycam cię czterema listami; w każdym nalegam o jak najspiesznieisze zgromadzenie i przesłanie funduszów. Czekam, niecierpliwię się, nareszcie zjeżdżam do domu, i na samym wstępie dowiaduję się, że okradziony jestem przez Szmula Goldberga.

— Ależ rewers podpisany jaśnie wielmożną ręką samego pana Grafa.

— Co mi Acan pleciesz o rewersie? Żydowska psia powinność czekać. Lichwiarz bez cierpliwości, gorszy pana bez herbu. Wreszcie, nie tyle idzie mi o pieniądze, jak o obrazę. Zuchwalec! poważa się najeżdżać mię we własnym domu, sprzysięga z ludźmi, którym, jak głupiec, powierzyłem zarząd moich interesów; rabuje mię z ostatniego niemal grosza!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Marszałkowska 101. * ZEGARKI. • W. RUDNICKI • BIŻUTERYA. * Marszałkowska 101.
697—25—24

Zaprawy do podłóg, Farby, Lakiery
poleca HENRYK OSIŃSKI
Miodowa 12, wprost Sądu Okręgowego,
w Warszawie. 690-25-24

Nowo-otworzony
MAGAZYN MÓD
KAZIMIERY
ulica Świętokrzyzka Nr 32,
828—26—11 w Warszawie.
CENY PRZYSTĘPNE.

ZAKŁD GALWANICZNY
JANA ZABOKLICKIEGO
b. Galwanizera firmy „Iflanda i p. Filipskiego“
Senatorska 18,
(dom pp. Kanoniczek).
Przyjmuje złocenie, srebrzenie, niklowanie i oksydowanie wszelkich metali.
894—25—4

ZAKŁAD TAPICERSKI
A. TELATYCKIEGO,
Hoża № 20, 816—25—13
Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres specyalności.

KAKAO, CZEKOLADĘ,
CUKRY
DESEROWE,
CZEKOLADKI
poleca
883-25-8
FABRYKA Krak.-Przed. 17
W. TRUSZKOWSKI

W. KONOPACKA,
Nowogrodzka Nr 9, I piętro.
Pracownia sukien i okryć wykonywa obstalunki z własnych jak i z powierzonych materyałów, wykwintnie po cenach przystępnych, według ostatnich wzorów 706-25-23

SPECYALNY ZAKŁAD
Reparacyi maszyn do szycia
W. KALINOWSKI
Wspólna Nr. 15 785-50-32

NOWO OTWORZONY MAGAZYN MEBLI
F. OLSZEWSKIEGO
w Warszawie, Królewska № 9, parter wejście z bramy 5 dom od Krak. Przedm
POLECA:
Meble stolarskie solidnej roboty z gwarancyą piśmienną dwuletnią za pęknięcie.
Meble tapicerskie, bambusowe, **Dywany, Portjery, Serwety, Materace, Łóżka** żelazne **Wózki, Wanny** etc.
Ceny **nizkie** stałe oznaczone na każdym przedmiocie 921-12-2
Ekspedycya na prowincyę z opakowaniem.
Magazyn przyjmuje zamówienia na kompletne urządzenie całych mieszkań.

„PRZEGLĄD FILOZOFICZNY“

Treść pisma stanowią artykuły oryginalne z psychologii, teoryi poznania, logiki, metodologii, etyki, estetyki, socyologii, historyi filozofii, oraz ze wszystkich nauk specyalnych, o ile w nich się ujawnia pierwiastek filozoficzny.

Jednym z głównych zadań „Przeglądu Filozoficznego“ jest roztrząsanie kwestyi, wywołanych życiem praktycznem, o ile te kwestye znajdują się w ściślejszym związku z zagadnieniami filozofii.

Dział sprawozdawczy obejmuje cały ruch filozoficzno-naukowy z wyżej wymienionych dziedzin umysłowości ludzkiej i zawiera: Krytykę i Sprawozdania rzeczowe, Przegląd czasopism. Wiadomości bieżące, Notatki filozoficzne, Bibliografię.

Współpracownikami „Przeglądu“ są.

E. Abramowski – K. Appel—Dr. Z. Balicki – Dr. Wł. Biegański — Prof. Dr. J. Baudouin de Courtenay – Prof. Dr. P. Chmielowski – Prof. Dr. N. Cybulski — J. Wł. Dawid — S. Dickstein — R. Dmowski — Dr. B. Epstein — Dr. M. Flaum — B. Grabowski — Prof. Dr. L. Gumplowicz — Dr. K. Górski — Wł. Gosiewski — Z. Heryng — Dr. Wł. Heinrich — N. Hirszband — Prof. Dr. H. Hoyer — Dr. J. Karłowicz — L. Karpińska — Prof. Dr. M. Karejew — St. Karpowicz — Dr. J. Kodisowa — St. Kramsztyk — A. Krasnowolski — K. Krauz — L. Krzywicki — T. Korzon — Prof. Dr. J. Kowalski — Wł. Kozłowski — Wł. M. Kozłowski (ze Lwowa) — J. Lorentowicz — F. Łagowski — Dr. J. Łukaszewski — A. Mahrburg — Dr. L. Marchlewski — Dr. M. Massonius — Prof. Dr. T. Masaryk — Prof. X. M. Morawski. — Prof. Dr. Wł. Natanson — Prof. Dr. J. Nusbaum — R. Maliniak — Dr. J. Ochorowicz — Dr. Wł. Olechnowicz — Dr. Wł. Ołtuszewski — Prof. X. S. Pawlicki — J. K. Potocki — S. Posner — Z. Przesmycki — L. Przysiecki — Dr. R. Radziwiłłowicz — Prof. Dr. L. Stein — Prof. Dr. H. Struve — Dr. A. Świętochowski — Prof. Dr. K. Twardowski — F. Wermiński — Dr. A. Złotnicki.

„Przegląd Filozoficzny“ wychodzi co kwartał, obejmując od 8 do 10 arkuszy druku.

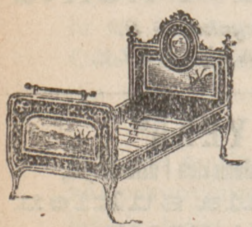
Prenumerata „Przeglądu Filozoficznego“ wynosi: w Warszawie: rocznie rs. **4**, półrocznie rs. **2**; z przesyłką pocztową: rocznie rs. **5**, półrocznie rs. **2** kop. **50**.

Prenumeratorzy roczni otrzymają jako dodatek bezpłatny dwa odczyty Emila du Bois Reymond'a p. t. „O granicach poznania natury“ i „Siedm zagadek wszechświatowych“, w tłumaczeniu i ze wstępem Dr. Maryana Massoniusa.

Redaktor i Wydawca
926—1—1 ***Dr. Władysław Weryho***
Warszawa, Krucza № 46.

: OSZCZĘDNOŚĆ :
Nowo otworzona Fabryka Chemiczna
KROCHMALU I PUDRU
SOBOLEWSKI i S-ka
Grochowska 57, w Warszawie,
ma zaszczyt powiadomić Sz. Publikę, iż wypusczono w handel krochmal pszenny, wyrabiany chemicznie, który ma tę wyższość nad innem, bo użyty jako zwyczajny nadaje bieliznie śnieżnej białości, sztywności, elastyczności i chroni ją od pękania; pod żelazkiem nie waży się i swobodnie daje się bielizna prasować, a to skutkiem zupełnego wydzielenia glutenu czyli kleju, który żółci bieliznę i pozostawia na niej smugi, przez utrzymanie mu znacznej zawartości gumy i czystego krochmalu używa się go znacznie mniej, — użyty na surowo, zastępuje w zupełności ryżowy. Wygląd jego matowy, cena zwyczajna, dostać można w sklepach mydlarskich i na miejscu w fabryce. 892—6—4

Najtańsza, najłatwiejsza i najprędsza w świecie nauka kroju
Sukien, Okryć damskich i dziecinnych, bez rysowania form, systemem Kazimierza Lewańskiego, za cały aparat, rozsuwany na wszystkie figury, począwszy od dziecinnej, aż do najotylszej, wraz z objaśnieniami, płaci się **tylko rs. 5.** Do każdej miejscowości Królestwa wysyła się nauczyciela, lecz nie inaczej, jak do czterech osób, za opłatą **tylko rs. 6.** Jedna osoba może być informowana za pomocą korespondencyj. Osobom nieczasowym udziela się wskazówek wieczorami.—Tamże wykonywają się Okrycia damskie przez
834—12-12 specyalistów wykwalifikowanych za granicą. **Królewska 17.**



116. MARSZAŁKOWSKA 116.
Mebli żelaznych, Wózków i Welocypedów dziecinnych
SKŁAD FABRYCZNY
z oddziałem pościelowym
J. Neufelda, w Warszawie.
MARSZAŁKOWSKA 116.
Poleca swe wyroby i artykuły pościelowe po cenach fabrycznych nizkich. Cenniki na żądanie gratis i franco. 695-26 24
Adres dla listów: **Pańska 33 (fabryka).**



Używajcie wszyscy Kakao Fruzińskiego.
Kakao Fruzińskiego uznane przez licznych odbiorców za najlepsze w smaku, oraz analizowane przez powagi lekarskie. Nie ustępuje w niczem najlepszym markom zagranicznym, a o połowę tańsze.
897—8—6
Parowa Fabryka Kakao, Czekolady i Cukrów Deserowych
J. Fruzińskiego
Warszawa, Marszałkowska 133. Filia Senatorska 6.
oraz we wszystkich pierwszorzędnych handlach w Warszawie i na prowincyi.

od rs. 125 ROWERY DAMSKIE od rs. 125
poleca Skład Angielsko-Belgijskiej fabryki
„MERCURY“
A. BORNSTEIN, Nowy-Świat 66.
905—12—6 Rowery te odznaczają się elegancyą, trwałością i lekkością.

Pracownia Sukien i Okryć Damskich 709-25-24
Maryi RYGIER
w Warszawie, Aleja Jerozolimska Nr 43, m. 10, druga brama, parter.

SKŁAD MATERYAŁÓW APTECZNYCH
PROWIZORA FARMACYI B. HEIMANA
Nowo-Senatorska 8, obok Placu Teatru — poleca
WODĘ MINERALNĄ
REICHENAUER SALZBRUNNEN
jako orzeźwiający napój stołowy.
Do nabycia we wszystkich aptekach i składach aptecznych.
Skład główny na miejscu. 876-12-11

GEBETHNER i WOLFF
17. Krakowskie-Przedmieście 17.
864 50—13 NAJWIĘKSZY W KRAJU
Skład Pianin

Fortepianów i Organów
WYNAJEM. Sprzedaż na raty.